

Grzecznie NIEGRZECZNA

TEKST: AGNIESZKA FILAS

Podobno Joanna Szczepkowska jest potworem. Bo wymaga, bo trudna, bo upiera się przy swoim. Zagrała własną matkę w filmie *Popiełuszko*. To pretekst, by pozwolić jej opowiedzieć o niespokojnym, niezbyt sielskim dzieciństwie, rozmowach z ludźmi na murku i dlaczego nie zawsze wie, czego chce.

Własnie się przeprowadza. Mieszkanie wynajmuje, nie kupuje. – Nie lubię się wiązać – mówi. Niedzisiejsza. Obce są jej słowa, „parcie na lans”, „pracoholizm”, „kredyt hipoteczny”, a nawet „praca na etacie”. Co ma w zamian? Wolny czas i poczucie, że zawsze można zacząć wszystko od początku.

Twój STYL: Miała Pani wątpliwości, czy zagrać bliską osobę?

Joanna Szczepkowska: Moja mama była postacią tak barwną i fascynującą, że po przeczytaniu scenariusza poczułam niedosyt. Wydawało mi się, że nie pokażę jej osobowości tak, jak na to zasługiwała. Nie domagałam się jednak większej roli, bo film był o księdzu Popiełuszcze, a nie o niej. Na planie nie czułam się nawet aktorką, tylko kimś, kto pamięta atmosferę czasów PRL-u. Czy przekroczyłam granice prywatności? Chyba nie. Zdjęcia do filmu rozpoczęły się, kiedy mama jeszcze żyła. Miałam jej pełne błogosławieństwo.

TS: Podobno była osobą niezwykle wspaniałą.

JS: Niepokorna, trudna, nie potrafiła się nagiąć. Pracowała w kościele Świętego Marcina, w komitecie pomagającym rodzinom in-

ternowanych. Potrafiła łączyć środowiska. Robotnicy z Huty Warszawa, studenci medycyny, artyści... dogadywała się ze wszystkimi. Umiała rozładować konfliktowe sytuacje poczuciem humoru. Ksiądz Popiełuszko, który siłą rzeczy często bywał u nas w domu, doceniał to.

TS: Jest Pani podobna do mamy?

JS: Niezupełnie. Była ideałem, chociaż przestrzegała dziwnych zasad. Przykład? Nie znam matki, która pociesza dziecko przynosząc ze szkoły złe stopnie. A ona to robiła. Denerwowała się, że jestem za grzeczna. Wolałaby mnie widzieć potarganą, bijącą się z chłopakami, chodzącą po drzewach, a nie piszącą wiersze. No to chodziłam po drzewach, żeby jej się podobać.

TS: Skąd wzięła się ta grzeczność?

JS: Z tego, że miałam bardzo niegrzecznych rodziców. W szalonych latach 60. mieszkaliśmy w kamienicy, w której żyli sami młodzi aktorzy. Właściwie ich życie było jedną wielką nieustającą zabawą.

TS: Czuła Pani zazdrość o tłumy dzieci przewijające się przez wasz dom?

JS: Tak. Kiedy rodzice się pobrali, postanowili, że będą mieli tyle dzieci, ile się da. Ale pojawiłam się tylko ja, a mamie z głębokim, rozsadzającym ją instynktem macierzyńskim

najwyraźniej to nie wystarczało. Zaczęła opiekować się dziećmi z zaniedbanych rodzin. Wyprowadzała na ludzi największych łobuzów. Na jednej z wycieczek szkolnych zaczęła rozmawiać z chłopakiem, który nigdzie nie ruszał się bez noża, zastraszał nauczycieli, uciekał z domu. Ten mężczyzna, Piotr, dziś mieszkający w Stanach Zjednoczonych, mówi, że tylko dzięki mamie wyszedł na prostą. Na zakończenie szkoły podarował jej nóż. Zrobiony na pracach ręcznych.

Patologicznie nieśmiała szara myszka aktorką? Ojciec odradzał mi ten zawód.

TS: Może chciałaby Pani znów być dzieckiem?

JS: Nie. Moje dzieciństwo było pełne jakichś niepokojów, zagubienia, strachu przed przyszłością... Wydawało mi się ciągle, że jestem inna, wszędzie obca. Nie wiedziałam wtedy, że cierpię na dekoncentrację, rodzaj ADHD. Potrafiłam napisać esej o poezji włoskiej dla całej klasy, ale spakowanie się na lekcje przekraczało moje umiejętności. Wpatrywałam się w nauczycieli, widziałam, w jakich są nastrojach, ale nie

potrafiłam powtórzyć, o czym mówili przez całe 45 minut. Wszystko jakoś za silnie przeżywałam.

TS: Kiedy Pani uświadomiła sobie: pora być dorosłą?

JS: Dla kobiety to moment urodzenia dziecka. Nie ma odwrotu. Dokładnie tak pomyślałam, kiedy moja córka spojrzała mi pierwszy raz w oczy. Do tej pory właściwie czułam się w jakimś sensie dzieckiem, i to dość rozpieszczonym. Gdy było mi źle, zdarzało mi się wracać myślami do czasów, gdy jako mała

dziewczynka spędzałam popołudnia w ogrodzie Ireny Tuwimowej. Popołudniowa herbata, plotki. To była moja wizja raju.

TS: A teraz?

JS: Dwa lata temu dotarło do mnie, że tego świata już nie ma. Pisałam wtedy książkę *Kocham Paula McCartneya*. Rzecz się dzieje w czasach mojego dzieciństwa. Konkretny adres: Filtrowa 64. Akurat szukałam mieszkania. Dzwoni agent: „Mam dla pani mieszkanie na Filtrowej 64”. Naprawdę, >

BEZ ZNIECZULENIA

Jako dziecko była bardzo spokojna. Siedziała w swoim pokoju i pisała wiersze. Mama wołała, by z chłopakami wchodziła na drzewa. Więc wchodziła, by spodobać się mamie. Dziś trudno przypuszczać, że Joanna Szczepkowska robi coś, by zadowolić innych. Czasem po prostu musi wstać i wyjść.



< to jest w dokumentach tej agencji. Jadę obejrzeć. I okazuje się, że jest to mieszkanie naprzeciwko tego, w którym jako dziecko mieszkalam. Wtedy zorientowałam się, że nie chcę wracać do tamtych czasów. Z oferty nie skorzystałam.

TS: Jaką rolę zagrałaby Pani, gdyby ktoś powiedział: proszę zagrać siebie?

JS: Zaniepokojoną. Ale może na mojej twarzy pojawiłaby się też odrobina dojrzałości.

TS: Dlaczego zdawała Pani do szkoły teatralnej?

JS: Wszyscy wokół odводzili mnie od tego pomysłu. Łącznie z moim ojcem, który uważał, że patologicznie nieśmiała szara myszka nie ma tam czego szukać. Żeby zaoszczędzić mi trudów zawodu, zastosował „negatywną protekcję”. Udał się do Aleksandra Bardiniego, który był przewodniczącym komisji, i błagał go, by pod żadnym pozorem nie przyjmował mnie do szkoły. Bardin, któremu zawdzięczam późniejszy debiut, postawił mi dwóję, o czym później mi opowiedział. To, że zdałam, zawdzięczam pozostałej części komisji, która nieświadoma intrygi mojego ojca była na „tak”.

TS: Słynny aktor Andrzej Szczepkowski nie widział, że jego córka ma talent?

JS: Nie. Myślę, że niezbyt dobrze mnie znał. Był uroczy, dowcipny w towarzystwie, ale w domu zamykał się w sobie. Taki typowy nieobecny ojciec. A ja mimo nieśmiałości, wycofania czułam, że teatr to mój żywioł. Pamiętam: zaczęłam pierwszą pracę. Wchodzę do garderoby, a tam mnóstwo konwalii. Zespół pamiętał, że mam urodziny. Poczulałam się jak w domu. Tyle tylko że aktorski żywioł czasem gaśnie, odpływa. Wtedy zamykam się, czytuję, piszę albo rysuję. Dla siebie.

TS: Jest Pani samotniczką. „Rzadko mam ochotę z kimś się związać”. Mocne zdanie.

JS: To nie tak. Nigdy nie podjęłam decyzji, że chcę być sama. Uważam, że nie ma nic piękniejszego niż para. I praca nad tym, żeby związek kobiety i mężczyzny się scementował. Tyle tylko że zwykle to się układa w jakiś prosty porządek: ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś. Ktoś się opiekuje, ktoś się poddaje opiece.



Nie chcę grać w serialach, bo boję się, że scenarzysta uśmierci jej bohaterkę. Gdy konto jest puste, bierze dwie walizki i jedzie w Polskę z monodramem.

Zwykle, w dobrym nawet sensie, ktoś w parze na kimś „wampirzy”, czerpie energię. Ja tego nie chcę. Często odjeżdżam myślami, wychodzę, kiedy nie trzeba... Chyba więc jestem samotniczką.

TS: Partnerzy powinni poznawać się w starszym wieku, kiedy wiedzą, czego chcą, a potem razem młodzić. To Pani słowa. Wie już Pani, czego chce?

JS: No właśnie, jeszcze nie wiem.

TS: Jest ktoś, kto zasłużył sobie na miano miłości Pani życia?

JS: W jakimś sensie tak. Ale moje życie jeszcze się nie skończyło.

TS: Wszystko na ten temat?

JS: Tak.

TS: Co jest Pani ambicją?

JS: Kiedy gram, granie, kiedy piszę, pisanie. Czasem to się miesza. Jako Biała Królowa w przedstawieniu *Ali-cja* w Teatrze Dramatycznym mam wrażenie, że piszę wiersz o tej kobiecie. Z drugiej strony na przykład moje opowiadanie *Okno dla anioła* to gotowy scenariusz teatralny. Może

Pieniądze zarabiałam zawsze zrywami. Albo dużo, albo nic. Taki lekki strach.

taki powstanie, jeśli wytrwam. Ale pewnie nie wytrwam.

TS: Nie umie Pani walczyć?

JS: Nie o siebie. Urodziłam się do motywowania innych, do inspirowania. Taka karma. Jakiś czas temu dostałam propozycję zagrania Marii Skłodowskiej-Curie. Proszono mnie o zmiany w scenariuszu. Zrobiłam to, zasiedziałam się w życiu tej niezwykłej kobiety i nic. Cisza.

TS: Dlaczego nie gra Pani w serialach?

JS: Bałabym się, że scenarzysta mnie uśmierci. Że z dnia na dzień zostanę bez pracy. Wolę się bać na własny rachunek. Bywały lata, kiedy musiałam sama utrzymać dzieci i wtedy można mnie było zobaczyć na dworcu z dwiema starymi teatralnymi walizkami obciążanymi sznurkiem. Dźwigałam je po całej Polsce, jak bohaterka mojego monodramu

Gola baba. Jak ona zarabiałam na życie tym, co umiem. Czasami było trudno, mało luksusowo.

TS: Gdyby Pani grała w operach mydlanych, na konto wpływałaby co miesiąc pokaźna suma.

JS: Pieniądze zarabiałam zawsze zrywami. Albo dość dużo, albo nic. I całe życie towarzyszy mi lekki strach. Właściwie to lubię.

TS: Nie wierzę, że nigdy nie poszła Pani na kompromis.

JS: Moje życie, które w dużym stopniu składa się tylko z obserwowania innych, jest właśnie kompromisem z własnym temperamentem. Często łapię się na tym, że w godzinach, kiedy moi rówieśnicy pracują, ja chodzę z psem po parku. Każdy normalny człowiek nazwie to stratą czasu, ale to jest mój czas, mój park i moje życie.

TS: Co Pani robi w tym parku?

JS: Na Saskiej Kępie mam swoich „pacjentów”, ludzi, którzy, jak ja to nazywam, siedzą na murkach. Nie poradzi sobie w życiu, nie mają domów, pieniędzy, za to mają problem alkoholowy. Może to autodestrukcja, ale codziennie rano z nimi rozmawiam.

TS: Powinna Pani zostać terapeutką.

JS: Lubię słuchać ludzi. I na swój sposób pomagam innym. Na przykład dorosłym z deficytem uwagi, tym samym syndromem, na jaki ja cierpiałam w dzieciństwie. Piszą do mnie na adres mojej strony internetowej, a ja im odpowiadam. Zajmuję się kilkunastoma osobami, których właściwie nie znam, a z drugiej strony znam tak dobrze jak siebie.

TS: Wybiera Pani przeszłość czy przyszłość?

JS: Siedzę w przeszłości. Rozpamiętuję, wyciągam wnioski. Nie lubię tego u siebie. Wpatruję się w zdjęcia swoich prababek i zastanawiam się, dlaczego mają smutne oczy jak ja.

TS: Rządził Panią rozum czy emocje?

JS: Rządzą mną emocje rozumu. Nie zawsze do opanowania.

Rozmawiała AGNIESZKA FILAS